

KRAKUS Z WETERANÓWKI 1)

Naszym bliskim sąsiadem w osadzie Weteranówka, w powiecie krzemienieckim był Aleksander Jordański. Jego działka - patrząc od nas ku południowi - leżała na przeciwnym wzniesieniu. Dzieliło nas jedynie gospodarstwo Stanisława Kuty. Jego dawny majątek rodzinny, znajdujący się w pobliżu Szepetówki na Ukrainie, w wyniku I wojny światowej pozostał po sowieckiej stronie.

Żył dość biednie, gospodarzkę oddawał w dzierżawę, a mieszkał w małym domku, przedzielonym gankiem i sionką na dwie części. Jedną z nich przeznaczył na izbę mieszkalną, a drugą - na stajnię dla swego gnadosza, kozy i całej czeredy psów, które skutecznie odstraszały przygodnych, a niespodziewanych gości.

Nie posiadał żadnej rodziny, towarzyszyła mu jedynie wierna do grobowej deski służąca imieniem Różia. Z pozoru mógł wydawać się dziwakiem. Był człowiekiem starej daty, trochę oryginałem i jakby stroniący od zażyłości z sąsiadami, wśród których w istocie czuł się trochę obco. A w gruncie rzeczy był to człowiek taktowny i delikatny, cichy i raczej nieśmiały, dostojny i stroskany. Nosił się prosto, chodził w rogatywce-konfederatce, ubierał się według starej mody, ale skromnie i z pewnym zaniedbaniem. Ponad długimi wąsami i dużą siwą brodą uwydatniał się jego prosty nos i twarz nosząca wyraz bólu, jakby piętno przeżytych cierpień. Z wyglądu i z ubioru przypominał postać starego powstańca zdawałoby się, żywcem wyjętą z obrazu Kossaka. Miał w oczach dobroć, szlachetne serce i żołnierską duszę - był Kawalerem Orderu *Virtuti Militari*. Jako żołnierz lekkiej kawalerii, dowodził półszwadronem Krakusów, do którego należało wielu osadników z Weteranówki. W

kontaktach z ludźmi okazywał niecodzienną życzliwość, wielką serdeczność. Był człowiekiem niezłomnego charakteru i wielkich zasad moralnych, a przy tym wielkim patriotą i wzorem kresowego Polaka.

Po kontuzji w I wojnie utracił zdolność płynnego mówienia, nieraz bywało, że z ledwością wyjąkał to, o co mu chodziło i być może właśnie dlatego stronił od towarzysstwa. W dodatku wrodzona nieśmiałość nie ułatwiała mu życia. Nie powiedło mu się też w konkursach do pewnej ziemianki starej panny.

Ale czasami zaglądał do nas po owoce i nabiał. Do siostry Niusi, zaledwie podrastającego podlotka, mówił „pani”, z matką witał się uniznienie i szurając przy tym zamasyżycie nogami, z godnością całował ją w rękę. Lubił porozmawiać o poważnych sprawach, a próbując i nas zabawić - choć z trudem mu to szło - opowiadał pocieszne facecje i różne zabawne dykteryjki z lat swojej młodości.

W pogodne letnie przedpołudnie z naszego podwórka, niczym z amfiteatru, skąd roztaczał się rozległy widok na okolicę, mogliśmy podziwiać niecodzienne turnieje tego starego wojaka. Ponieważ działo się to na przeciwnym wzniesieniu, więc widać było jak na dłoni. Porozsiadaliśmy się wtedy na trawie przed naszym gankiem i wygrzewając się w słońku, obserwowaliśmy to zadziwiające widowisko, odbywające się w naturalnej scenerii osady, z widocznym na dalekim horyzoncie ciemnym kołnierzem koszlackiego lasu.

Jordański brał wypchane słomą worki i przywiązywał je do uprzednio głęboko wkopanych, na skraju jego polnej drogi, wysokich żerdzi, pomiędzy którymi Różia poutykała w ziemi długie witki z przywią-

zanymi na końcu wiechciami słomy. Potem ubrany w łański mundur i starą wojskową pelerynę brał szablę, dosiadał swego ulubionego wierzchowca, i tak przygotowany, niczym na wojenną wyprawę, wyruszał z podwórka i kłusując w kierunku koszlackiej drogi z kawalerską fantazją wymachiwał szabelką. Za nim - niczym przyboczna jego drużyna wysypywała się cała czereda jego psów, gromadnie poszczekując i wzbijając po drodze tumany kurzu.

Potem - pozorując natarcie - z podniesioną w górę szablą i z rozwianą peleryną, w pełnym galopie szarżował na owego wymaginanego wroga. Podjeżdżał doń z bliska i raz z lewa, raz z prawa ciał w przygotowane na tyczkach worki i z całych sił uderzał w nie płazem. A wywijając szablą młynka ścinał cienkie witki za jednym zamachem, aż słomiane wiechcie fruwały w powietrzu. Przy końcu drogi zawracał i jakby ukrywając się przed nieprzyjacielem, kładł się na grzbiecie, to na boku konia, zeskakiwał z niego, to w biegu nań wskakiwał. I tak kończąc pierwszy akt tego widowiska, prezentując szablą, uroczyście powracał na własne podwórko, dając koniowi i sobie krótki odpoczynek.

Nabrawszy sił, znów dosiadał swego gnidosza. Tym razem brał kawalerską lancę i wyciągnąwszy ją przed siebie, pędził w pełnym galopie, co koń wyskoczy, jakby szalonym rozpędem chciał pokonać swego nieprzyjaciela. A pochylony jak do ataku, trzymając garścią za drzewce długiej lancy, ostrym grotiem wbijał ją w wypchane słomą worki, szybko i zwinnie wyrwał ją, i znów szykował się do kolejnego natarcia.

Po udanej szarży kierował się do domu i niczym zwycięzca powracający z pola walki, w asyście rozszczekanych i porządnie umęczonych psiaków, spoglądając jeszcze na przydrożne pobojowisko, z okrzykiem triumfu pełnym cwałem wpadał na podwórko. Objężdżał je jeszcze dookoła i - co należało do ceremoniału końcowego -

zatrzymywał się przed oczekującą na niego z dużym bukietem polnych kwiatów - niby na powitanie swego rycerza - wierną służącą, Rózią. Brał od niej kwiaty i jak gdyby zdając raport z wykonanego zadania bojowego - uroczyście salutował, po czym zeskakiwał, poklepywał gniedego po karku i odprowadziwszy go do stajni sam szedł na zasłużony, a przygotowany przez Rózię obiad. Również robotnicy zatrudnieni u Kuty przy budowie nowego domu na tenże czas przerywali pracę i z zainteresowaniem obserwowali to niebywałe, a wielce ciekawe widowisko.

Po 17 września 1939 roku niektórzy osadnicy zaczęli opuszczać osadę. Nasi sąsiedzi Jordański i Burzowie, którzy nieco później wyjechali z Białozórki, zagłędali jeszcze do Kutów i wspólnie debatowali, co dalej począć i gdzie się udać. Nie przypuszczali jeszcze, jakie czekają ich losy. Szczególnie Jordański był prawie codziennym gościem w ich domu. Nieraz pożywił się, czym chata bogata, nieraz wziął coś za pazuchę na zaś, ale przede wszystkim - nader umartwiony - potrzebował rady i dobrego słowa. Jordański nie miał gdzie wyjechać i tam na Wołyniu chciał dokonać swego żywota. Ale nie dane mu to było. Ostatni raz widziałem go, kiedy przyszedł do Kutów na pożegnalne śniadanie. Kuta upiekł w duchówce ziemniaki w łupinach. Gorące i chrupiące zajadaliśmy z serem i ze śmietaną - ale i ze smutkiem w oczach. Takich śniadań nie zapomina się.

10 lutego 1940 roku los jego, jak i innych osadników z Weteranówki dopełnił się. Jego nowym miejscem pobytu stał się posesiołek Piszczonka w krasnowiszerskim rejonie. Wielu osadników tam chorowało i wielu pomarło. Jeśli w zimie - do czasu wiosny chowano ich w głębokim śniegu. Pozostał tam po nich mały cmentarzyk. - Mały... ? Po półtorarocznym pobycie z siedmiuset osób, które tam zesłano pozo-

stał cmentarzyk z ponad stu mogiłami. Niektóre rodziny wymarły w całości.

Różia, służąca Aleksandra Jordańskiego, wierna mu dosłownie do grobowej deski, została pochowana już latem 1940 roku. On dożył jeszcze mroźnej zimy. Wieczorami zachodził często do Domańskich. Ogrzał się przy rozpalonym żelaznym piecyku, coś u nich zjadł, napił się czegoś gorącego, pogadał z nimi. Pewnego późnego wieczoru, a właściwie już nocą, kiedy powracał do swoich pieleszy, zboczył odrobinę z udeptanej wąskiej ścieżki,

zatonął się - i aż po szyję zapadł się w głęboki puszysty śnieg. Bez ludzkiej pomocy nie udało mu się z tej śnieżnej odchłani wydostać i nikt nie słyszał jego cichego wołania. Znalaziono go rano. W śniegu go też - do wiosny - pochowano...

1) Jest to fragment z 2 tomu „Wschodnich losów Polaków - Wspomnienia z Wołynia” wyd. „Stopka” Łomża 1991

